

Błędny ognek (Bolesław Londyński)

Był cichy ciepły wieczór, jeden z rzadkich wieczorów z końca sierpnia. Ogród zaczynał już powoli tonać w mroku wieczornym i Cesia z Józią, bawiące się niedaleko domu, zamierzały już wracać, gdy nagle podbiegła do nich starsza siostra, dziewięcioletnia Stefcia.

-Cesiu, Józiu, wiecie, co wam powiem? - mówiła ledwie dysząc z szybkiego biegu.

Z jej wzburzonej i tajemniczej buzi, dziewczynki domyśliły się, że nowina była ciekawą i chciwie wpatrzyły się w nią rozszerzonymi oczkami.

-Co, co, co? - pytały, mimo woli zniżając głosy.

Ale Stefcia obejrzała się z początku dookoła, a przekonawszy się, że nikt jej słyszeć nie może, ozwała się cichutko:

-Wiecie, byłam w kuchni i tam stróż Piotr mówił, że w naszym lesie ukazał się ognek!

-Ognik? - Jaki ognek? - zapytały dziewczynki, nie rozumiawszy wyrazu.

-Błędny ognek, - wyjaśniła Stefcia, - on tak się nazywa dlatego, że może przebiegać z miejsca na miejsce.

A wy wiecie co znaczy, gdy taki ognek zjawia się w lesie? Ale Cesia z Józią nie wiedziały i poruszały główkami przecząco.

-To znaczy, że w naszym lesie jest zakopany skarb, - szybko powiedziała Stefcia.

Oczka dziewczynek rozszerzyły się jeszcze bardziej. Wiadomość uderzyła je swoją nadzwyczajnością. Serduszka zabiły jakimś uczuciem nieokreślonym, przejmującym, nie mniej jednak przyjemnym, chwytającym je nieznacznie już od samego początku świadomie strasznej bajki. A ze skarbem łączyło się w nich wyobrażenie czegoś tajemniczego, cudownego i strasznego.

-Skrarb! - wyszeptały ich na wpół otwarte usteczka.

-Tak, skarb! i wiecie, postanowiłam, że musimy go znaleźć koniecznie, dodała Stefcia tonem niedopuszczalnym zaprzeczenia.

Stefcia była najstarszą w rodzinie, ogólną faworytką, pieszczoszką, i korzystała z nieograniczonego wpływu na swoje małe siostrzyczki. I teraz więc nie poważyły się powiedzieć „nie“ na jej stanowczy projekt.

-Ale jakże my go znajdziemy? - nieśmiało spytała Cesia.

-Po prostu. Kucharka Franciszkowa powiada, że trzeba iść za ognikiem, dopóty, dopóki się nie zatrzyma. Tam gdzie stanie, tam musi być skarb, - rzekła, bezwiednie naśladowując głos Franciszkowej.

-Ale jakże go odkopimy? - znowu pytała Cesia, odznaczając się wielką tchórzliwością i pragnącą wykręcić się w jakikolwiek sposób od oczekującej ją wycieczki.

-Jak odkopimy? — zawołała Stefcia.

Pytanie to nie przychodziło jej widocznie do głowy, ale niedługo zastanawiała się nad jego rozwiązaniem.

-Odkopywać wcale nie trzeba, - rzekła; - zauważymy tylko miejsce, a potem wrócimy do domu i powiemy.

-To lepiej teraz powiemy i pójdziemy wszyscy razem, - oświadczyła Cesia,

zadowolona, że zdarza się taki świetny punkt wyjścia.

-Aha, jak to zaraz widać, że ty nic nie wiesz i boisz się, - odparła Stefcia. - Ażeby znaleźć skarb trzeba posiadać niewinną duszę dziecka, - rzekła, znowu naśladowując głos kucharki. - Jeżeli pójdziemy z dorosłymi, to możemy całą noc latać za ognikiem, a on stanąć nie zechce. Musimy iść same!

-Kiedy strach! - rzekła Cesia.

-No to kiedy się boisz, to zostań, - oświadczyła z niezadowoleniem Stefcia: - My pójdziemy z Józią, Józiu, przecież ty się nie boisz? - zwróciła się do młodszej siostry.

-Nie boję się, odparła Józia, podnosząc swoją jasnobloną główkę.

W głębi duszy czuła niejaką obawę, ale ciekawość i kusząca chęć, aby samej doświadczyć bajecznej przygody, brała górę. Przy tym miała do siostry Stefci nieograniczone zaufanie i czuła dla niej cześć nieomal, za jej stanowczość i odwagę.

-Więc pójdziemy - rzekła Stefcia. - Ach, jak mama będzie zachwycona, gdy się dowie, żeśmy znalazły skarb. Właśnie mówiła niedawno, że mało ma pieniędzy.

Decyzja młodszej siostry zawstydziła Cesię, a gdy usłyszała ostatnie słowa Stefci, ogromny wstyd ją ogarnął z powodu tchórzostwa. Bo i czego się bać? Przecież nie będzie sama! Malutka Józia się nie boi! A jeżeli znajdziemy skarb rzeczywiście? I myśl, że nie byłaby w stanie dzielić radości i tryumfu swoich sióstr, w razie powodzenia, ostatecznie pokonała jej obawę. Zresztą, nie byłoby to po siostrzanemu zdradzać siostry w tak niebezpiecznym przedsięwzięciu.

-I ja także pójdę, - rzekła Cesia do Stefci, która wzięwszy za rękę Józię, ze stanowczością wyruszyła w drogę. Cesia, czując się winną, nieśmiało podążała za nimi. Minęły ogród, nie spotkawszy nikogo, doszły do rzeki i przez most wstąpiły na łąkę.

Mrok zapadał. Cienie nocne posuwały się szybko, pełzając po całej łące, a na przodzie, jak czarna nieruchoma ściana, wznosił się znajomy las. I za każdym razem, gdy Cesia spoglądała na jego ciemną tajemniczą kotarę, dreszcz ją przenikał i bezwiednie tuliła się do Stefci.

-Tchórzysko! - rzekła Stefcia, ale uczucie trwogi zaczynało wkradać się do jej duszy.

Jedna Józia szła zupełnie spokojnie, opuściwszy główkę w zamyśleniu i stąpając nogą w nogę za Stefcią. Nagle, z lasu dał się słyszeć krzyk nocnego ptaka, dzieci drgnęły i zatrzymały się.

-Nic, - nic, - rzekła Stefcia, - to puchacz, nie ma obawy, - i szła dalej.

Cesia rozplakała się nagle. Serduszko jej dawno już kołatało ze zgrozy, a ten niespodziewany krzyk, który tak dotkliwie przerwał i zakłócił panującą ciszę, pozbawił ją możliwości panowania nad sobą.

-Nie mogę, nie mogę, - mówiła zająknięta z łez i wzruszenia, - Ja się boję... ja dalej nie pójdę, ja chcę do domu.

Stefcia rozgniewała się. Słabość Cesi wzburzyła ją. Do lasu już było bardzo blisko.



-Czy podobna wyrzec się tego zamierzonego celu? - Idź do domu, jeżeli chcesz, - rzekła, - ja pójdę dalej. I z całą stanowczością ruszyła przed siebie. -Ja sama się boję, boję się! - krzyczała Cesia, chwyciwszy Józię za sukienkę. -Ach! - krzyknęła nagle Józia, - patrzcie, ognik! Łzy Cesi obeschły od razu i stłumiwszy oddech, dziewczynki patrzyły w stronę, w którą wskazywała Józia.

W oddaleniu, pomiędzy drzewami, rzeczywiście widać było błyszczący punkcik, który znikał i za chwilę ukazywał się znowu.

-Pójdźmy prędzej, - szepnęła Stefcia, ledwie dysząca ze wzruszenia. Dzieci szybko podbiegły do brzegu lasu i stanęły na lewo od głównej alei, przeprowadzonej do sąsiedniego majątku. Ognik zbliżał się do nich z niesłychaną szybkością i - rzecz szczególna - przebiegł, zda się, w poprzek aleję, nie dotykając się ziemi.

-A nuż się przy nas zatrzyma? - rzekła Józia.

Stefcia milczała. Taki gwałtowny przebieg ognika po jednej ścieżce wydał się jej podejrzany. Ognik był przy nich, ale nagle pochylił się, zadrżał, dotknął się prawie ziemi i w tej chwili dał się słyszeć dobrze znany dzieciom, ale gniewny teraz okrzyk:

-Znowu zaczęłam o korzenie! Kiedyż nareszcie oczyszczą tę drogę?

-Ależ to wujek Michał! zawołały dzieci i podbiegły ku niemu.

Był to rzeczywiście wujaszek Michał, powracający na rowerze z sąsiedniego majątku. Nieopodal tego miejsca, gdzie stały dziewczynki, rower zaczął się o korzeń sterczący w ziemi i o mało się nie przewrócił wraz z jeźdźcem.

Niespodziane ukazanie się dzieci, tak daleko od domu zadziwiło go.

-Co wy tu robicie o tej porze i to zdaje się same? zapytał zdziwiony.

-Przyszliśmy po skarb, po skarb! - zawołała Józia, skacząc radośnie przy swym ukochanym wujku.

-Po jaki skarb? Co takiego - pytał wujaszek, dziwiąc się coraz bardziej.

Stefcia, widząc, że tajemnica się wydała, wyjaśniła wujkowi o co chodziło. Wujek roześmiał się.

-I ty mogłaś uwierzyć w taką bajkę? - rzekł wujek - ty, taka duża i rozumna? A może wam chodziło o robaczki świętojańskie, które latem pokazują się w trawie i błyszczą fioletowym ogniem? No, to macie je w ogrodzie, po cóż chodzić aż do lasu w nocy?

-Ależ nie, wujaszku - rzekła Stefcia - ja znam robaczki świętojańskie.

-Ach, Stefciu, dziecko drogie, te twoje tak zwane błędne ogniki nie ukazują się nad skarbami, ale przeważnie nad błotami! Czy podobna jednak, żeby dotąd nie zdarzyło ci się słyszeć o nich?

-Nigdy - odparła Stefcia.

Śmiech wuja Michała i jego słowa stropiły ją zupełnie. Przedsięwzięcie, które wydawało jej się tak doniosłym i poważnym, teraz wyglądało na puste i nie mające sensu.

-Franciszkowa musiała sobie uroić te skarby - pomyślała ze smutkiem i teraz wszyscy śmiać się będą ze mnie.

-No, postaram się wam to wyjaśnić w sposób jak najprostszy - mówił tymczasem wujaszek Michał. - Nie wiem tylko czy mnie zrozumiecie.

Widziałyście w mieście na ulicach latarnie gazowe i możecie zwracały uwagę jak lampiarz zapala latarnię? Otwiera szybę, przekręca kran, dotyka do niego płonącą świecę lub pochodnię a nad palnikiem, czyli rożkiem zapala się równy jasny płomyk. Otóż taki sam gaz skupia się nad ziemią, głównie na błotach i wydobywa się niekiedy na powierzchnię w postaci cienkich, niewidzialnych dla oka płomyków. Jeżeli na to miejsce trafi przypadkowo ogień, to się zapala i pali się dopóty, dopóki cały płomień nie wygaśnie. Czy zrozumiałaś mnie, Stefcu?

-Zrozumiałam - odparła dziewczynka.

-Ludzie prości - mówił dalej - nie umieją sobie wytłumaczyć ukazywania się ognia i wymyślają różne głupstwa o nieczystej sile i temu podobne. Ale mam nadzieję, że moje siostrzenice nie będą już nigdy wierzyły w podobne bajki.

-Ja nie będę, rzekła Stefcia, ściskając rękę wuja.

-A teraz idźmy prędzej - rzekł wujaszek Michał, - zaczyna być chłodno i w domu mogą być niespokojni o was.

Tak też było. Gdy się zbliżali do domu, słychać było różne głosy, nawołujące dziewczynki.

-Hop, hop! - głośno huknął wuj Michał, jesteśmy tutaj!

-Hop, hop! - podchwyciły panny.

Niebawem wszyscy siedzieli w jadalni, oświetlonej jasnym płomieniem lampy. Wujaszek Michał w sposób jak najpociesznieszy opisywał wyprawę dziewczynek, a dodał tyle zabawnych szczegółów, że wszyscy za boki brali się od śmiechu.

